



Materiał przygotowany przez **Rzeczpospolita. Plus Minus**
Autor: Anna Herbrich

DZIEWCZYNA Z POWSTANIA

Moja babcia przeszła przez powstanie z niemowlęciem na ręku. Cudem przeżyła. Takiego szczęścia nie miały dziesiątki tysięcy innych cywilów.

4 sierpnia 1944 roku na warszawską Ochotę wkroczyły oddziały kolaborującej z Niemcami Rosyjskiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej (RONA). Żołnierze rzucili się na bezbronną dzielnicę jak stado sępów. Wdzierali się do domów, plądrowali mieszkania, a przerażonych mieszkańców wypędzali na ulice. Odbывało się to w akompaniamencie obelg i wyzwisk.

W jednym z mieszkań kamienic na ulicy Barskiej 5 znajdowała się moja babcia, Irena Herbich. Trzy miesiące wcześniej urodziła swoje pierwsze dziecko. Chłopca o imieniu Jacek. Kiedy wybuchło powstanie, razem z malutkim synkiem i swoją babcią przeniosła się do piwnicy. Jej mąż, a mój dziadek, porucznik Armii Krajowej Jan Herbich, poszedł walczyć.

Gehenna na Zieleniaku

Warunki panujące w piwnicy były katastrofalne. Ciemno, brudno, głodno. Dla młodej kobiety z niemowlęciem na ręku była to prawdziwa gehenna.

„W naszej piwnicy był lekarz pediatra - opowiada babcia. - Gdy straciłam pokarm poradził mi, co robić. Rozbełtywałam trochę mąki i cukru z naszych skromnych zapasów i podawałam niemowlęciu łyżeczką. Właśnie w momencie, kiedy karmiłam Jacusia tą papką, nagle zgasła lampa karbidowa. Zapanowała absolutna ciemność. Po kilku sekundach piwnicę wypełniły wrzaski: „Raus, raus!”. I głośne szczekanie psów.”

To byli Niemcy i towarzyszący im rosyjski kolaboranci. Wdarli się na podwórko kamienicy i szybko odkryli, że na dole ukryli się ludzie. Kazali wszystkim mieszkańcom opuścić piwnicę.

Irena Herbich, zdj: Dariusz Golik



„Wysłałam na górę tak, jak stałam - wspomina Irena Herbich. - Jacka zawinęłam w kocyk, chwyciłam tylko garnuszek i torebki z mąką i cukrem. Niemcy byli uzbrojeni po zęby i agresywni. Rozstawili nas rzędem na podwórku. Brama była zawalona gruzem, co bardzo utrudniało wyjście. Przez bramę cisnął się więc gęsty tłum przerażonych ludzi. Bałam się, że stratują mnie na śmierć. Poczekalam więc i jakoś udało się wyjść na samym końcu. O wzięciu wózka nie było jednak mowy. W ciągu następnej godziny przeszliśmy dwanaście rewizji. Dla Niemców i ich wschodnich sojuszników Powstanie było

okazją do dzikiej grabieży. Kradli dosłownie wszystko. Przeszukiwali mężczyzn, kobiety i dzieci. Ponieważ bardzo pilnowałam godzin karmienia Jacusia, nie zdjęłam z ręki zegarka. Oczywiście mi go zabrali. Jedyną osobą która wiedziała, która godzina, była babcia Tunia. Zegarek schowała w bucie.”

Ludność, którą wypędzono na ulice była bita i grabiona. Z bram kamienic dobiegał huk wystrzałów. Padli pierwsi zabici i ranni. Niemcy uformowali z ludzi kolumny marszowe i popędzono ich w stronę Zieleniaka. Był to jeden z największych warszawskich targów warzywnych. Podczas powstania Niemcy urządzili na jego terenie punkt zborny dla mieszkańców Ochoty.

Targ otoczony był ceglany murem silnie strzeżonym przez Niemców. A w środku tysiące ludzi koczowało na wybrukowanym placu. Leżeli na płaszcach, kołdrach, lub na gołej ziemi. Cierpieli z powodu głodu, pragnienia i nocnego chłodu. Plac był potwornie przepiętny, człowiek leżał na człowieku. Ci, którzy przeszli przez Zieleniak, wspominali później, że miejsce to było niczym piekło na ziemi.

„Nie było wody, ani urządzeń sanitarnych - opowiada babcia. - Jęki rannych mieszkali się z wrzaskami Niemców. Jak się dowiedziałyśmy, w ostatnich dniach na Zieleniaku działy się dantejskie sceny. Ludność była bita i grabiona przez rosyjskich SS-manów z RONA . Pijani Rosjanie wyciągali z tłumu młode kobiety. Padały one ofiarą brutalnych, zbiorowych gwałtów. Ciała zamordowanych były zaś palone na terenie pobliskiej szkoły. Dopiero wtedy opowiedziano nam ze szczegółami o masowych zbrodniach popełnianych podczas rzezi Ochoty. Między innymi o rozstrzeliwaniach ludzi zaraz po wypędzeniu z domów, czy o wrzucaniu granatów do okienek piwnic, w których siedziały tłumy cywilów. My miałyśmy sporo „szczęścia”, bo trafiłyśmy na Zieleniak po tym, gdy Niemcy zaprowadzili na nim trochę porządku. To, co wyprawiali Kałmucy, było zbyt szokujące nawet dla nich. Ci ludzie zupełnie wymknęli się Niemcom spod kontroli. Poprzedniego dnia przed naszym przybyciem Niemcy wzięli więc to towarzystwo za twarz. Rozstrzelali część żołnierzy RONA i na pewien czas zrobiło się spokojniej. Na Zieleniaku spędziłyśmy całe szczęście tylko jedną noc. Mimo to było to przeżycie, które

trudno zapomnieć. Zanosiło się na deszcz, a siedzieliśmy na gołej ziemi pod gołym niebem. Jacuś zgubił smoczek, płakał, był zmęczony i głodny. Tego wieczoru zrobiło się bardzo chłodno, zaczęło mżyć. Całe szczęście znalazłam rozwiązanie. Za garść cukru i mąki jacyś ludzie przyjeśli mnie pod „szałas” ustawiony z dwóch par drzwi jak domek z kart.”

Hekatomba '44

Irenie Herbich udało się wraz z dzieckiem przetrwać Zieleniak. Po dwóch dniach - wraz z tłumem innych nieszczęśników - popędzono ją na Dworzec Zachodni. Gdy szła ulicą zobaczyła, że jej kamienica na Barskiej stoi w płomieniach. Mieszkanie i cały dobytek był stracony. Nie pora była jednak o tym myśleć. Najważniejsze było ratowanie życia. Na dworcu mieszkańcy Ochoty zostali zapakowani do pociągu i wywiezieni do Pruszkowa. Babcia trafiła tam do obozu przejściowego - *Durchgangslager 121*.

„Jak zwykle starałam się trzymać na końcu i wejść do hali jako ostatnia - relacjonuje babcia. - Przy bramie poprosiłam jakiegoś starszego żołnierza o względnie przyzwoitej twarzy, żeby zaprowadził mnie do lekarza. Powiedziałam mu, że mam chore dziecko. A Jacuś, o dziwo, wyglądał nieźle. Pięknie się opalił w drodze z Zieleniaka na Dworzec Zachodni. Nie sądziłam więc, że Niemiec potraktuje moją prośbę poważnie. A jednak.

Zaprowadził mnie na koniec gigantycznej kolejki do lekarza. Stałam tam dobre kilka godzin, już prawie nadeszła moja kolej, kiedy okazało się, że komisja z powodu później godziny kończy urzędowanie. Ogarnęła mnie rezygnacja. Musiałyśmy spędzić noc na brudnym betonie pokrytym jakimiś smarami i olejami w asyście towarzystwa ze Starego Miasta. I powiem oględnie, że nie było to towarzystwo najlepsze. Gdy spałam, ktoś mnie okradł. Zabrano mi z kieszeni żakietu portfel z pieniędzmi i fotografiami. W ten sposób to, co przegapili Niemcy, wysłedzili i odebrali mi rodacy.

Rano wszystko zaczęło się od nowa. Najpierw badali nas polscy lekarze, którzy wystawiali zaświadczenia z rozpoznaniem choroby, a dopiero potem należało się udać z kwitkiem do komisji niemieckiej. Całe szczęście lekarka, która mnie badała, pani Grzegorzycykowa, była moją sąsiadką z Ochoty. Napisała mi więc po łacinie, że mam poronienie w toku. Niemiec, na szczęście, przyjął to bez mrugnienia okiem. Podpisał gdzie trzeba.

15 sierpnia — święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Tego dnia wyszłam z obozu, byłam wolna. Dla mnie Powstanie było skończone. Z Pruszkowa kolejką WKD pojechaliśmy do Komorowa, do moich ciotek. Ta jazda była dla mnie szokiem. Po dwóch tygodniach spędzonych w piwnicach i niemieckich obozach wyglądałam fatalnie. Becik Jacusia był wręcz czarny od brudu. Jego pieluszka była w niewiele lepszym stanie. Obok mnie na pociągowych ławkach siedzieli zaś normalni ludzie. Przyzwoicie ubrani, dobrze odżywieni.

Jak gdyby nic się nie stało. Jak gdyby zaledwie kilka kilometrów dalej nie rozgrywała się wielka tragedia, podczas której w gruzy obracała się stolica Polski i codziennie ginęły tysiące ludzi. Pamiętam, że ktoś zapłacił za nasze bilety, bo nie miałyśmy przecież żadnych pieniędzy. Na stacji w Komorowie wpadłam w objęcia ciotek. Okazało się, że wychodziły na każdy pociąg. Obie miały synów w Powstaniu...”

Moja babcia, Irena Herbich, miała sporo szczęścia. Przeżyła Powstanie Warszawskie. Co jednak najważniejsze, udało jej się ocalić od śmierci swojego malutkiego synka. Po wielu latach relację babci zamieściłam w książce „Dziewczyny z Powstania”. Chciałam w ten sposób pokazać, że historia Powstania to nie tylko opowieść o dziarskich dziewczętach i

chłopach z Armii Krajowej, którzy dzielnie walczyli z Niemcami.

To także opowieść o potwornych cierpieniach setek tysięcy cywilnych mieszkańców stolicy, uwięzionych na terenie objętego walkami miasta. Ludzie ci przez wiele tygodni siedzieli w ciemnych piwnicach. Bez wody, jedzenia i środków medycznych. Miażdżyły ich walące się od uderzeń pocisków kamienice. Dusili się pod gruzami własnych domów. Ginęli w bestialskich, masowych egzekucjach dokonywanych przez okupanta.

Historycy oceniają, że w trakcie 63. dni walk na ulicach stolicy mogło zginąć nawet 150 - 200 tysięcy cywili. Powstanie Warszawskie było jedną z największych tragedii w historii Polski. Podziwiając odwagę i poświęcenie powstańców, nie wolno zapominać o drugiej stronie medalu. Hekatombie cywilów.

Zaczęło się na Wołyniu

Ojciec mojej babci pochodził z Podola, z okolic Kamieńca Podolskiego. Majątek jego przepadł bezpowrotnie, po wojnie 1920 roku znalazł się po bolszewickiej stronie granicy. Rodzina przeniosła się na Wołyń, gdzie majątki miała rodzina ze strony mamy. Tam babcia spędziła dzieciństwo. Potem została wysłana do Warszawy i umieszczona w szkole z internatem siostr Nazaretanek. Wszystkie ferie i święta spędzała jednak na ukochanym Wołyniu.

„Z dzieciństwa spędzonego na wołyńskich dworach zapamiętałam wielkie polowania, w których brałam udział jako naganka - opowiada. - Właśnie tak się wówczas mówiło. Naganka, a nie żadna nagonka. Robiło to na mnie wielkie wrażenie. Po obiedzie był zwyczaj odpoczywania na werandzie, dziewczynki siedziały przy ręcznych robótkach, a ciocia głośno nam czytała. Co niedziela jeździło się do kościoła w czwórkę koni linijką. Gdyby nie nowoczesny kort tenisowy wyglądałoby to wszystko jak sceny z „Pana Tadeusza”. Kąpać się do pobliskiego stawu chodziłyśmy zawsze pod opieką nauczycielki francuskiego. Nie wolno nam było iść razem z chłopcami, co uważałam za krzywdzące. Poskarżyłam się na to mamie i ta przyznała mi rację. Uznała, że pod opieką chłopców będę bezpieczniejsza, bo gdy zacznę się topić, ktoś silny mi pomoże. W czasie upałów wracaliśmy do dworu w kostiumach kąpielowych i chłopci pracujący w polu przychodzili potem do wuja na skargę. Byli oburzeni, że „panicze goło po polu biegają”. Podczas ostatnich wakacji na Wołyniu, było to już pod koniec sierpnia, wybrałam się wczesnym rankiem na przechadzkę po łące. Bociany szykowały się akurat do odlotu. W pewnym momencie, z szumem skrzydeł, wzbily się całą chmarą w powietrze. Było ich tak dużo, nigdy wcześniej, ani potem nie widziałam na raz tylu bocianów. Utworzyły chmurę, która na pewien czas przysłoniła słońce. Zrobiły koło nad Wołyniem, po czym ruszyły na Zachód. Patrząc na ich znikające sylwetki nie przypuszczałam, że niedługo podążymy ich śladem.”

Wkrótce całe życie babci miało się zawalić. Rozsypać jak domek z kart. Wspaniałe dwory i majątki miały przestać istnieć. Ba, do historii przejść miał sam Wołyń. Wielonarodowa, malownicza kraina, w której obok siebie mieszkali Ukraińcy, Polacy, Żydzi, Niemcy i Czesi. Kraj cerkwi, kościołów, synagog. Wiśniowych sadów, pasiek i ciągnących się po horyzont

łanów zboża.

„O tym, że wybuchła wojna - relacjonuje Irena Herbich - dowiedzieliśmy się rano 1 września przez radio. Od razu część służby nas opuściła. Po tygodniu przyjechali pierwsi uchodźcy z zachodniej Polski. Do stołu w Skurczu siadało po kilkanaście osób. Po pewnym czasie koło naszego kościoła z powodu braku benzyny wylądował samolot wojskowy. Został zamaskowany pod drzewami, a pilotów zaprosiliśmy na obiad. Kiedy zdobyli paliwo odlecieli, zrobiwszy nad domem rundę pożegnalną. Huk był tak straszny, że mieszkający u nas uciekinierzy pozrywali się w panice z łóżek myśląc, że to bombardowanie. Wszelka nadzieja zgasła 17 września. Do dzisiaj pamiętam, co tego dnia było na obiad. Zupa, a potem baranina z buraczkami i kompot z jabłek. W trakcie posiłku usłyszeliśmy w radio wiadomość — Armia Czerwona przekroczyła granicę Polski. Za stołem zapadła grobowa cisza. Po chwili wuj Michał odsunął krzesło, wstał i powiedział spokojnym tonem: „za godzinę nas tu nie ma”. Nikt nawet nie tknął drugiego dania. Wszyscy zerwali się od stołu pozostawiając parujące talerze.”

Decyzja wuja uratowała mojej babci życie. Po zajęciu Wołynia bolszewicy z miejsca przystąpili do krwawej rozprawy z ziemiaństwem. Czyli - jak twierdziła czerwona propaganda - „obszarnikami” i „krwiopijcami klasy robotniczej”. Drugi wuj babci, który zdecydował się zostać w swoim dworze, został aresztowany przez NKWD i zgładzony. Innych krewnych bolszewicy wywieźli bydłęcymi wagonami w głąb Związku Sowieckiego.

Małe zwycięstwo

Do Warszawy babcia dotarła już po kapitulacji miasta. Znalazła się więc pod okupacją niemiecką. Jej mama pracowała w szpitalu Ujazdowskim. Babcia oczywiście jej pomagała. Pierwszą wojenną Wigilię spędziła w szpitalu wałkując ciasto i robiąc kluski z makiem dla rannych polskich żołnierzy. W 1939 roku zaczęło się dla niej prawdziwe, dorosłe życie. Choć nie tak je sobie wyobrażała. Ślub wzięła w roku 1942.

„Gdyby Powstanie nie wybuchło, Warszawa nie zostałaby tak zniszczona i nie zginęłoby tylu ludzi - mówi babcia po latach. - Straty nasze w tej bitwie były przecież niewyobrażalne — 200 tysięcy zamordowanych i poległych. Tylu znajomych, tylu bliskich...”

Ja w Powstaniu Warszawskim odniosłam jednak moje małe zwycięstwo. Cel, który sobie postawiłam — osiągnęłam. Jacuś przeżył. Udało mi się go uratować. Po wojnie urodziłam jeszcze trójkę dzieci.

Mój mąż, Jan, zmarł w 2009 roku. Po prawie siedemdziesięciu latach wspólnego życia. Dużo razem przeszliśmy. Po wojnie za działalność w Armii Krajowej męża prześladowało UB. Złamano mu karierę. Potem, podczas „Solidarności” represje spadły na moje dzieci, które działały w opozycji. Cały czas o kogoś się martwiłam. Ale nigdy tak bardzo jak podczas Powstania Warszawskiego martwiłam się o Janka.”

Babcia zamyśla się i dodaje:

„Moje dzieci i wnuki regularnie mnie odwiedzają. Siadają przy stole i skarżą mi się na swoje kłopoty. A to coś nie wyszło w pracy, a to nie udało się czegoś załatwić w urzędzie, a to nie wypalił jakiś wyjazd. Patrzą wtedy na nich zdumiona. I mówię: Czy twoje miasto jest

bombardowane? Czy twojemu mężowi grozi śmierć od nieprzyjacielskiej kuli? Czy twoje dzieci głodują? Jeżeli nie, to nie masz powodu do narzekania. Wszystko inne jest bowiem błażostką.”